

KS. STANISŁAW BARTMIŃSKI

WOJENNE REKOLEKCJE



Stanisław Bartmiński (ur. 1936 r.), ksiądz katolicki. Ukończył Wyższe Seminarium Duchowne w Przemyślu, gdzie w 1959 r. przyjął święcenia kapłańskie. Od 1970 r. proboszcz parafii św. Marcina w Krasicy. W okresie stanu wojennego organizator pomocy charytatywnej dla internowanych, ich rodzin oraz osób represjonowanych z powodów politycznych. Organizował też rekolekcje i wykłady dla rolników i działaczy „Solidarności”.

Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego rozpoczęła się chyba nowa era w życiu naszego narodu. Stan ten wszyscy odczuwali jako uderzenie w demokrację i „Solidarność” – taka była opinia przeciętnego Polaka. 13 grudnia ogłosiłem w kościele żałobę narodową, organy nie grały, ludzie płakali i wszyscy po wielu latach śpiewaliśmy „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Na wieczór było zaplanowane spotkanie młodych małżeństw na temat „Chrześcijańskie przeżywanie świąt”. Miała je poprowadzić moja bratowa z Lublina, żona Jerzego Bartmińskiego, członka Zarządu Regionu, internowanego. Niestety, na nabożeństwo przyszło tylko kilka osób (siedem małżeństw). Nikt nie był w stanie rozmawiać na temat świąt i wszyscy wkrótce się rozeszli. Bratowa nie mogła rano wrócić do Lublina, gdzie pozostawiła sześcioro własnych dzieci i jedno sąsiadów. Te wspomnienia zawarłem również w Kronice parafialnej.

Już w grudniu otrzymałem z Lublina przesyłkę z antybiotykami, ponieważ spodziewając się rozlewu krwi, sądziliśmy, że będą potrzebne lekarstwa. Zaczęliśmy organizować coś na wzór małych podręcznych apteczek. Gromadziliśmy środki opatrunkowe i przeciwbólowe. Nie wiadomo było przecież, czym to wszystko się skończy.

Następnego dnia, w poniedziałek, odwiedziło mnie dwóch komisarzy, upominając dość surowo i bezczelnie, abym nie modlił się za zamordowanych i aresztowanych. Ja nie byłem im dłużny i też wygarnąłem, co myślę o całej tej hecy. Potem przyszli po raz drugi, by zabronić mi czytać list Episkopatu, nie zastali mnie jednak, byłem bowiem na spowiedzi w Medyce.

Panowała atmosfera niepewności. Zakaz poruszania się samochodami prywatnymi, telefony odcięte. Słuchaliśmy zachodnich rozgłośni, z których napływały wiadomości o mordach i strajkach, rannych i pobitych. Dziś wiemy, że nie wszystkie informacje zostały później potwierdzone, ale o to chodziło: brak wiarygodnych informacji potęgował strach. 20 grudnia pomimo zakazu odprawiłem msze św. we wszystkich kościołach parafii i zapowiedziałem pasterkę na 12 w nocy, ale z uwagi na to, iż inni księża ogłosili, że pasterka odbędzie się o 9 wieczór lub w Boże Narodzenie rano, musiałem zrezygnować. Kiedy jednak tego dnia odwołano godzinę milicyjną, ponownie zapowiedziałem pasterkę na północ, ale ludzi przyszło na nią mniej niż zwykle.

24 grudnia byłem w Jodłówce koło Jarosławia na pogrzebie ks. Mokrzyckiego. Księży było mało, gdyż rodzina mogła wysłać zaledwie trzy telegramy. Biskup przemyski nie dojechał, gdyż kierowca nie dostał przepustki. Podczas kazania mówiłem o pustym miejscu przy wigilijnym stole „rodziny parafialno-narodowej”. W Krasieczynie niektórzy parafianie, członkowie ORMO, buńczucznie paradowali po wsiach w mundurach. Z kurii otrzymywaliśmy odpisy listów Prymasa i ja przyjąłem taką zasadę, że będę te listy czytać w kościele.

Rzeczą pierwszorzędną stało się organizowanie pomocy dla ofiar stanu wojennego. Inicjatywa była spontaniczna i oddolna. Moje pierwsze wyjazdy i kontakty w tym zakresie wynikały z powiązań rodzinnych. Uzyskałem zezwolenie na wyjazdy do Lublina i Katowic. 12 stycznia 1982 r. z Katowic przyjechała moja siostra Maria Klimowicz i przywiozła przerażające wiadomości o pacyfikacji na Śląsku: setki, może tysiące w szpitalach, w hutach i kopalniach robotnicy pobici przez zomowców. Wiele z tych informacji okazało się później fałszywych. Tego samego dnia po raz pierwszy został zwołany Parafialny Komitet Pomocy, który przekazał do kopalni „Wujek” 30 tys. zł. Pieniądze pochodziły ze zbiórki parafialnej, prowadzonej wyraźnie z przeznaczeniem na pomoc. To jest o tyle ważne, że ludzie wtedy właśnie na ten cel dawali.

29 stycznia odwiedził mnie Tadeusz Chmiel, który od dłuższego czasu był moim „opiekunem” z ramienia SB. Przyjąłem go grzecznie, ale lodowa-

to. Przeprosiłem, że w obecności okupanta nie mogę usiąść, on też stał. Zagroził mi prokuratą „za kazania i fałszywe przedstawianie obozu internowania w Uhercach”. Zarzuciłem mu nagrywanie, a potem odtwarzanie każdej naszej rozmowy na komendzie. Oświadczyłem, że przyjmuję jego ostrzeżenie, ale będę postępował według własnego uznania. Rozstaliśmy się oziębłe. Żegnając się, powiedziałem, iż może kiedyś, w innych czasach, spotkamy się przy kawie. Ostrzegłem, że sytuacja może się jeszcze zaostrzyć, aż do przelewu krwi. Obaj uznaliśmy, iż byłaby to tragedia narodowa.

Wzorem innych diecezji w Przemyślu powstał Komitet Pomocy Internowanym i Uwięzionym. Znalazłem się w nim przypadkowo. Kuria oficjalnie poparła powołanie Komitetu i szukała księży, którzy chcieliby włączyć się w jego prace, sama zaś podjęła się koordynacji działań.

Zajmowałem się głównie przygotowywaniem paczek dla internowanych, ale raczej nie jeździłem do obozów. Do Krasiczyna przyjeżdżał ks. Oskar Tomas, który miał dużo ludzi. Spotykali się u nas w Krasiczynie, tu przygotowywali paczki i jechali. Sami byliśmy z paczkami 4 marca. Sprawozdanie z przekazania żywności zostało złożone w Kurii Biskupiej. W tę działalność był zaangażowany mój brat Jan Bartmiński, natomiast ja te akcje nagłaśniałem. Przykładowo, gdy organizowaliśmy przesyłkę kawy, chodziłem po przemysłowych sklepach, aby zemleć 15 kg. Od razu zrobił się ruch w mieście, że to kawa dla internowanych. To denerwowało komunistów. Oni by się zgodzili nawet na 20 kg, byleby nikt nie wiedział. Przy tej okazji szmuglowało się papiery, listy itp. Jan Bartmiński zaangażowany był w działalność „Solidarności” robotniczej. Pracował w sanepidzie i w pegeerach, stąd miał kontakty z różnymi strukturami. Był takim łącznikiem.

Na plebanii przyjęliśmy wielu robotników ze Śląska. Po akcjach protekcyjnych 1 i 3 maja 1982 r. setki robotników zostało zwolnionych z pracy, między innymi w Świdniku koło Lublina. W WSK zwolniono około 300 osób. Odprawieni z „wilczym biletem” w małym mieście nie mogli znaleźć pracy, a poza Świdnikiem mieli problemy z mieszkaniem. Mogli, co prawda, dostać w Świdniku pracę, ale na nowych, niekorzystnych warunkach, po podpisaniu oświadczenia o lojalności. Nie poszli na to. Zatrudnienia szukał dla nich Komitet Pomocy.

Mój brat z Lublina, Jerzy, został zwolniony z internowania i zaczął tworzyć „Solidarność Rodzin”, przemianowaną później na „Samopomoc Rodzin”. Przyjeżdżał tu do mnie i proponował mi zatrudnienie robotników, których miał przysłać ks. Brzozowski. Wyraziłem zgodę na zatrudnienie sześciu–ośmiu osób i zaproponowałem tysiąc złotych za dziesięć godzin

pracy, z mieszkaniem i wyżywieniem – tyle mniej więcej oferowano pomocnikowi na budowie.

Pierwszy przyjechał 11 czerwca 1982 r. pan Krzysztof Sawicki, doktorant z KUL-u. Następnie z rekomendacji ks. prof. Brzozowskiego z Lublina przyjechało dalszych siedmiu zwolnionych z pracy. Przygotowywaliśmy wspólnie plebanię do oazy. W sumie pracowali tutaj przez trzy tygodnie, do 4 lipca. Trzeba pamiętać, że w każdej grupie pracowników zdarzały się osoby podstawione przez służby bezpieczeństwa, tylko nie zawsze udawało się je zidentyfikować.

Organizowaliśmy wspólne spotkania studentów ze Śląska z mieszkańcami przyjmującymi na kwatery robotników. To była taka forma integracji – spotkania studentów, robotników i księży. Postanowiliśmy wspólnie organizować zbiórkę żywności dla Śląska. Pierwsza zbiórka wypadła mizernie: samochód zabrał około 1800 kg jabłek, trochę nabiału i jajek. Później wspólnie z księdzem biskupem ordynariuszem postanowiłem rozkręcić tę akcję w diecezji. Do końca września ludzie złożyli bardzo dużo nabiału i jajek dla Biskupiego Komitetu Pomocy w Katowicach. Z kilku parafii zawiózłem do Katowic około 3 tys. jajek. Zbiórka żywności szła bardzo dobrze, zwłaszcza w rejonie Przeworska, tak że w następnym transporcie bp Tokarczuk osobiście zawiózł ponad 30 tys. jajek.

Był też taki przypadek. Na plebanii wypoczywały żona i dzieci Janusza Rumfa z Bytomia, który organizował „Solidarność” w milicji, skazanego na cztery lata więzienia za rozprowadzanie nielegalnych ulotek. W trakcie przepustki Janusz Rumf przyjechał do Krasieczyna, aby odwiedzić rodzinę – tutaj często odbywały się takie rodzinne spotkania. Potem wyjechał z Krasieczyna w sprawie żywności dla swojej parafii w Bytomiu. W Katowicach zaaresztowało go dwóch tajniaków i wywieźli go „suką” w nieznaną. On był na przepustce i nie miał przy sobie żadnych dokumentów. To był dla nas szok. Przez mecenasa Gorcyusza udało się ustalić miejsce pobytu pana Janusza i zapłacić kolegium w wysokości 15 tys. zł, zanim MO, ciężko zapracowane w tych dniach, zorientowało się, kogo złapało. Pikanterii tej sprawie dodaje fakt, że pan Janusz miał przy sobie dużo pieniędzy na opłacenie transportu żywności, ale nie mógł nimi zapłacić kolegium, bo musiał złożyć pieniądze w depozycie. Wrócił do Krasieczyna do żony z czterodniowym opóźnieniem.

W całej Polsce było zapotrzebowanie na różnego rodzaju spotkania, ludzie szukali kontaktów. Tutaj pierwsze spotkania – rekolekcje dla rolników – zostały zorganizowane spontanicznie, w dużej mierze dzięki mojemu bra-

tu Janowi i Markowi Kuchcińskiemu. Kuchciński wówczas bardzo się udzielał, wraz z grupą, która później organizowała Dni Kultury Chrześcijańskiej. Wspólnie z nimi planowałem rekolekcje. Pierwsze odbyły się między 8 a 12 grudnia 1982 r. Zaprosiłem imiennie około 60 osób z dziesięciu diecezji. Przyjechało około 40 uczestników. Rekolekcje poprowadził ks. Czesław Sadłowski ze Zbroszy Dużej. Obstawa milicyjna była bardzo szczelna. SB nagabywała księży i biskupa ordynariusza. Zarzucono mu, że nie wie o konspiracyjnych rekolekcjach w Krasieczynie dla działaczy „Solidarności”. Biskup faktycznie nic o tym nie wiedział, ale SB twierdziła, że rekolekcje zostały zorganizowane na jego polecenie. Parę osób zatrzymali na kilka godzin. Ksiądz biskup w tym wypadku stanął całkowicie po mojej stronie. Kiedy później poinformowałem dokładnie księdza biskupa o tych spotkaniach, z całą stanowczością poparł tę inicjatywę. Dzięki temu inni księża uwierzyli, że ksiądz biskup również ich poprze.

Kilku uczestników rekolekcji w Krasieczynie zapłaciło mandaty. Zebrani wysłali telegram do Ojca Świętego i apel do polskich robotników. Przedostatniego dnia rekolekcji, 11 grudnia, zapowiedziałem zebrany, że uroczyste zakończenie odbędzie się następnego dnia o godzinie 10, mając świadomość, że jest podsłuch lub wtyczka. Rano o 5.30 pobudziłem wszystkich cichutko i mówię: „Chłopy, za pół godziny w kaplicy na plebanii”. O godzinie 6 odbyły się roraty; o 7 wszyscy odjechali autobusami, a o 10 milicja obstawiła plebanię.

To były jedne z pierwszych rekolekcji w Polsce. Następne odbyły się w Czernej pod Krakowem. Później organizowaliśmy różne spotkania, na których dyskutowano na temat społecznej nauki Kościoła. Zaproszenia ze stemplem Kurii Biskupiej rozsyłałymi różnymi drogami: pocztą, przez znajomych. Na terenie diecezji przemyskiej rozsyłałem 100–150 zaproszeń. Zawsze były problemy z pieniędzmi na organizację spotkań. Zbierano je głównie wśród parafian. Później, kiedy przyjeżdżali do nas z Katowic, udało się uzyskać wsparcie w ramach współpracy z duszpasterstwem katowickim. Katowice pokrywały wydatki na utrzymanie domu rekolekcyjnego. Pomała też kuria i sami uczestnicy rekolekcji. Wśród wykładowców byli między innymi profesorowie z KUL-u, na przykład ks. Kazimierz Ryczan.

Kiedy odbywały się rekolekcje, przyjeżdżał ksiądz biskup i na plebanii toczyły się rozmowy – pod lipą, przy kawie, w kuchni – o czym nie wiedziałem. Przyjeżdżał tu, lecz nigdy nie brał udziału w rekolekcjach, śp. pan Ślisz z Łąki. Nie było go w kościele, spotykał się za to z ludźmi. Ja nawet nie wiedziałem, że podczas gdy w kościele odbywały się rekolekcje, gdzieś

na plebanii były organizowane posiedzenia Komitetu Porozumień Ustrzycko-Rzeszowskich. Takich spotkań było tutaj kilka. Przyjeżdżał na nie na przykład Wiesław Nowacki, którego zatrzymano w Przemyślu. Uciekał do Krasicyzna ze szpitala. Nowacki ukrywał się również w wiosce Hołowice, gdzie diabeł mówi dobranoc. Mieszkając tam, spotykał się z różnymi ludźmi. W Hołowicach zostały zorganizowane pierwsze wakacje dla dzieci górników z Wujka.

Jest też jeszcze jedna mało znana sprawa. Otóż parafia wykonała dziewięć rzeźb z drewna, takich czarnych, osmolonych, na groby pomordowanych w Wujku. Zostały ufundowane przez wiele parafii naszej diecezji. Przedstawiały upadającego pod krzyżem górnika, miały też napis „Solidarność”, składający się z trzech liter pionowych, trzech leżących i znowu trzech stojących. Rzeźby poświęcił w katedrze ks. bp Błaszczewicz w roku 1982 czy 1983. Odwoziłem je osobiście. Jedna poszła do Łęcznej pod Lublinem, skąd pochodził jeden z górników, inne na Śląsk. Milicja wyłapała nas w Radymnie, ale rzeźby ocalały. Wszystkie zostały przekazane do Kurii Biskupiej w Katowicach, gdzie zostały zatrzymane, jako że miały za bardzo polityczny wydźwięk – były symbolem upadającej i powstającej „Solidarności”. Nie wiadomo, co się z nimi dalej stało.

Dariusz Iwaneczko